



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie \$1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą \$1.00, bez Gazety \$1.50. Przedpłata musi być naprzód opłacona. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: } W. Smulski, 635 Noble str. Chicago, Ill.
All communications must be addressed:

Entered at the post office of Chicago Ill., as second class matter.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIAŃSKI.
Czwartek, 9 lutego	Apolonii P. M.	Gorysława.
Piątek, 10 lutego	Scholastyki P.	Tomila.
Sobota, 11 lutego	Lucyusza B.	Świętochna.
Niedziela, 12 lutego	Zapustna. Eulalii P. M.	Radzyn ś.
Poniedziałek, 13 lutego	Juliana M.	Jordan ś.
Wtorek, 14 lutego	Walentego K. M.	Niemir.
Środa, 15 lutego	Popielec. Faustyna M.	Szczęśliaw.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus !

NA NIEDZIELĘ ZAPUSTNĄ.

Ewangielia św. Łukasza w rozdz. XVIII. od w. 31 do końca.

W on czas wzięwszy Jezus z sobą dwunastu uczniów, rzekł im: Oto wstępujemy do Jeruzalem, a wypełni się wszystko, co napisano jest przez proroki o Synu człowieczym. Bo będzie wydan poganom, a będzie nągrawan, biczowan i oplwan; a ubiczowawszy zabiją Go, lecz dnia trzeciego zmartwychwstanie. A oni tego nic nie rozumieli, i było to słowo zakryte przed nimi, i nie zrozumieli co się mówiło. I stało się, gdy się przybliżał ku Jerychu, ślepy niektóry siedział wedle drogi żebrząc. A usłyszawszy rzeszę przechodzącą pytał, coby to było. I powiedzieli mu, iż Jezus Nazareński mimo idzie. I zawołał, mówiąc: Jezusie! Synu Dawidów! zmiłuj się nademną! A którzy szli wprzód, fukali nań aby milczał; lecz on tem więcej wołał: Synu Dawidów! zmiłuj się nademną! A Jezus stanąwszy, rozkazał go przywieść do Siebie. A gdy się przybliżyli, pytał go, mówiąc: Co chcesz, abym ci uczynił? A on powiedział: Panie! abym przejrzał? A Jezus mu rzekł: Przejrzyj, wiara twoja ciebie uzdrowiła. I natychmiast przejrzał, i szedł za Nim, wielbiąc Boga; a lud wszystek widząc, dawał chwałę Bogu.

Łeki na strachy śmiertelne.

Kto ich zażyje, ten się już nigdy śmierci bać nie będzie.

(Ciąg dalszy.)

Ciało jest bardzo cienką ścianą jakby z papieru, co oddziela życie od śmierci, doczesność od wieczności. Rozważ sobie tylko, jak ty to robisz, kiey chcesz ukarać małego komara, który ci krew wypija między palcami? Oto nie innego, jeno trochę ścisniesz palec do kupy, już po komarze, co dopiero latał i ciesząc się z życia, bręczał ci nad uchem. Zeby Pan Bóg tak jeno trochę ścisnął, nie, żeby jeno lekko dmuchnął, ale i to za wiele, żeby Pan Bóg jeno chciał, ale i to nie potrzebna, żeby Pan Bóg tylko zaprzestał cię wspierać i podtrzymywać, a natychmiast twoje życie zgaśnie na zawsze jak ta lampka, w której wszystek olej już się wypalił. Dusza twoja wpada w przepaść wieczności, i po dwu dniach wynoszą tve ciało na cmentarz i kadzą komorę jałowcem lub octem, gdzie tve zwłoki spoczywały, aby i ten odór pozostały poszedł sobie za tobą, a twoim mająteczkiem, jeśliś jaki zostawił, podzielią się lub sprzedają go czempredzej. Tak będzie prędzej czy później na pewnika; zwyczajnie prędzej, niż się spodziewasz. Kto wie? może już teraz masz na sobie po raz ostatni tve suknie, a ten, co ci na nową suknię weźmie miarę, nie będzie krawcem, ale stolarzem, a materyi na nią nie weźmie od kupca w mieście, jeno sprowadzi desek od pilarzy i sam ją pomaluje żółto lub czarno i wymaluje krzyż podłużny u góry, jak na ornacie nie raz widzisz w kościele. Oj, ten krawiec, to ci zbije do kupy długą, poważną suknię odświętną z sześciu desek sosnowych, a za roczek około tego czasu już oto trawa rośnie na twoim grobie i krzyż już gnije od deszczu i śniegu i wilgoci. Niechciałbym cię widzieć w tym strachu, jakiby cię ogarnął, gdybyś wiedział, jak już nie daleko ciebie śmierć stoi. Może ty, co czytasz tę książeczkę będziesz najpierwszym, którego śmierć z tej wsi lub z tego miasta zabierze. Niech cię Bóg broni, żebyś so-

bie miał wbić w głowę, iż przecież śmierć tyle będzie miała względu na ciebie i łaskawie zaczeka dopóty, aż tobie będzie dogodnie! Śmierć się o to nie pyta i nie troszczy się, czyś ty swoje sumienie już uporządkował. Nie będzie wysiadywała przed domem i czekać nie będzie, aż ty twoje sprawy załatwisz i nic jej do tego, czyś ty potrzebny jeszcze lub już nie potrzebny na tym świecie. Śmierć jest twarda i bez miłosierdzia, jak stary kat lub oprawca. Nie zważa na dzieciątko w kolebce, które zgłodniałe krzyczy do piersi umierającej matki; śmierć zabija matkę, dziecko niech krzyczy. Śmierć nie dba nic na to, choć stary ojciec i synowa z małemi swemi dziećmi biadają i prawie przytomność tracą z żalości i bólu, syn tam w łóżku chrapoce, oko się zaciąga powieką i biedne chore serce bić już przestało.

Ty więc człowiecze, z ziemi i gliny ulepiony, nie rachuj na długie życie i nie sadów się tu mocno, jakbyś tu miał przez całą wieczność zostawać. Pan Bóg jeszcze przed narodzeniem się twojem wyznaczył ci pewną liczbę lat, której ty naturalnie nie znasz, i serca twego bicie rachuje tę liczbę dzień i noc i spieszo mu bardzo, aby ją przeliczyć. I bije prędko, i rachuje prędko; jeno w kilku ostatnich uderzeniach zwalnia zupełnie, jak to koło na młynie, jeśli wiatr ustaje lub wodę zastawiasz. I uderza raz — jeszcze raz i — jeszcze raz i już ustalo na zawsze -- ach na zawsze, na zawsze!... I powiedz mi teraz, jak ci będzie, kiedy śmierć wypowie twej duszy mieszkanie na ziemi, i będzie ją chciała wypędzić z ciała. Kiedy doktor twarz znacząco nastroi, kiedy po czerwonych oczach twoich domowników poznasz, że gdzie w kącie łzy wylewają dla ciebie; kiedy ci matka lub żona powie: wiesz co? Antosiu, Szymku, albo jak ci tam właśnie imię, nic to nie szkodzi, zabezpieczyć się na wszelki wypadek, toć przez to prędzej nie umrzesz; kiedy ci nogi lub ręce spuchną jak banie, a twój kumotr, z którym już od wielu lat stałeś na bakier i z nim zadzierałeś, przyjdzie naraz ni ztąd i z owąd, poda ci rękę i powie: kochany kumoterku, daruj mi, jeśliś cię obraził, ja ci też nie będę pamiętał; kiedy jednym słowem, na to się zanosi, jakobyś miał te spodnie na stołku i

ten surdut na gwoździu i buty, co leżą pod łóżkiem bez wszelkiego wynagrodzenia już teraz drugiemu odstąpić, gdyż jakeś po raz pierwszy przyszedł nagi na świat, tak samo też masz wywędrować z domu twego: oj, wtedy wydobywają ci się z głębi duszy myśli o śmierci, i na sercu robi się ciężko i tęskno! Najprzód pada na cię okrutny i srogi przestrich i wtedy niezmiernie narzekasz i chciałbyś nad samym sobą się uzalić, że musisz pożegnać te piękne dni i to niebo i wszelką rozkosz ziemską i wszelkie dostatki; że musisz pożegnać twą żonkę i tę gromadkę dzieci. Alećby jeszcze było pół biedy z tą boleścią rozłączenia się z życiem ziemskim, boćby nie jeden już się jako uspokoił, gdyż człowiek wiele może znieść, jeśli tak być musi, ale cóż? kiedy to są jeszcze większe okropności, które jak straszliwe widma niepokoją duszę, gdy już jest rzeczą pewną, jak Amen w kościele, że musisz umrzeć. Jednakże później się więcej o tem pomówi. Wprzód jeszcze zobaczymy, jakto śmierć z ciałem się obchodzi.

Jeśli człowiek umiera zwyczajnym porządkiem, a nie przyspiesza sobie śmierci, to najprzód robi mu się tak jakoś źle i nieznośnie, w oczach mu się ćmi, iż mu się zdaje, że noc zapada. Rosółku, a nawet choćby oświęconego winą, które mu chcesz wlać do gardła, nie może połknąć; co mu wleją, to zaraz z ust wychodzi nazad; nie daje żadnego znaku, choć na niego wołają; nogi kostnieją, na czoło pot śmiertelny występuje. Chrapoce mu jeszcze w piersiach i ciężko a chciwie chwyta powietrze, ale coraz to wolniej i boleśniej z każdą minutą oddycha; piękne a ogniste oczy stawają kołem; policzki wpadają głęboko, usta rozwierają się aż przykro patrzeć, jakby biedna dusza wyleciała przez te spalone i szerniałe wargi. Ale nie na tem kończy się zajadliwość śmierci. Bardzo często zaczyna trup cuchnąć i śmierdzieć zarazliwie (coż mam inaczej to nazywać, jak jest w rzeczy samej?) i leki któreś zażywał, lub szerniała krew i inne płyny wychodzą, gdzie właśnie znajdują otwór. Niekiedy umarły szernieje i pozielinieje na twarzy, nabrzmieje straszliwie, że rozsadza trumnę i powrozami go

trzeba krępować. Ja wiem, że już nie raz tak się wydarzyło z tymi, którzy tu żyli w błocie rozwiozłości. Więc go potem wynoszą, zaśpiewają i pomodlą się trochę i spuszcza ją na powrozach trumnę do grobu. I płacze sierotka, i wdowa biedna załamuje ręce i ten lub ów z sąsiadów zakrywa sobie oczy chustką, nieraz naprawdę, a więcej razy dla mody i że to tak inni robią. Kiedy ksiądz proboszcz lub wikarjusz już swoje skończył modlitwy, to ci, co są na pogrzebie, oddają ci jeszcze ostatnią cześć, i rzucają parę garstek ziemi na trumnę, że aż bębni, jakoby słaby odgłos trąby archanielskiej wzywającej na sąd ostateczny.

Ludziska zmówią jeszcze z parę: „Ojcze nasz“ i pomodlą się: „Panie, daj mu wieczny odpoczynek“ i odchodzą. Tylko grobowy z zimnem sercem bierze łopatę i przyrzuca cię 4 lub 5 stóp wysoko ciężką ziemią, zatyka krzyż drewniany, oblecze swój surdut, otrząśnie ziemię z łopaty i idzie swoją drogą do domu.

Teraz ciało twoje samo, a samo między tyłu umarłymi i poraz pierwszy przez noc zostaje na cmentarzu. Tylko ten biały robak wydobywa się z wnętrzości, podgryza i psuje ciało cicho i niewidzialnie, a że sam mu rady dać nie może, wylęga młode robaczki do pomocy. I obrzydliwy robak zgnilizny grobowej przywlecze się do ciebie, chwytą w swe kleszcze i zeszepta cię straszliwie, tak straszliwie, że gdyby cię odkopano, wieluby na twój widok natychmiast omdlało, a odor, który z twego ciała uderza, jest tak trujący i zaraźliwy, że może zabić cz owieka. Wystaw sobie coś jak najobrzydliwszego, a i to jeszcze nie będzie tak obrzydliwym jak ty sam w kilka tygodni po śmierci.

Widziałem raz obraz, okropny, przerażający obraz: tak straszliwie i obrzydliwie jeszcze żaden djabeł z piekła nie został odmalowany, przecież nie był to obraz diabła. I coż to było? Pewien kardynał był bardzo urodny i pięknej postawy, i jak to nie jedna kobieta zwyczajnie ma pożądliwe i sprosne oczy i lekkomyślne a sprosne serce, więc tedy taka osoba powzięła zmysłową miłość ku niemu i — co aż wstyd powiedzieć, nie kryła się z tem, jeno dawała to poznać

przez różne sposoby, jakto zwyczajnie umieją kobiety. Już cię kardynałowi ani się nie śniło o czemś takim, więc byłby nie wiem co dał za to, gdyby mógł przygasić ten ogień, który się zajął w sercu tej nieszczęsnej niewiasty; ale kobieta ta jakby ogłupiała i oszalała, ciągle tam jeno o tem myślała. Czy tak Bóg zrządził widocznie, dość, że kardynał zachorował i po kilku dniach choroby słyszał wyraźnie, jak śmierć coraz bliżej stąpa i żebrami kościstemi gruchoce. Więc zaraz od razu, jak się należy, dał swoje ostatnie rozporządzenie, a między innymi przeznaczył testamentem pewną ilość pieniędzy na ten cel, aby po 6 tygodniach ciała jego wykopano z grobu. Pewnieś ciekawy wiedzieć, na co to wszystko? Żebyś sobie próżno nie suszył głowy domysłami, to ci powiem, że rozkazał dalej w tym testamencie, aby postarano się o jakiego tęgiego malarza, któryby wiernie twarz jego zgniłą odmalował. Portret ten miano posłać owej oszalałej kobiecie, aby ją uleczyć ze szalu i przywieść do upamiętania. I tak się stało. Ten portret ja widziałem. Ty może w najokropniejszym śnie tak odrażającej nie widziałeś twarzy; a przecież i twoje oblicze kiedyś nie będzie piękniejsze, jeśliby cię wykopano z grobu po kilku tygodniach. To samo spotka i ciebie; to jest jesień twego ciała, to jest początek jego grobowego spoczynku. Trupia głowa ukrywa się już po za skórą twojej twarzy, a w brzuchu twoim już teraz czeka robak na ciało twoje. (C. d. n.)

Bartosz Głowacki.

Napisał Piotr Zbrożek.

Dokończenie.

Rano pierwszego maja wyszedł Kościuszko z Krakowa. Kosyniery już teraz byli we większej sile. Zebrało się ich przez kilka dni pięć set ludzi. Pewnie już wszyscy wiedzą, że się lada chwila zjedzą z Moskalami, ale nikt nie wie, ani gdzie, ani kiedy. Naczelnik Kościuszko jedzie przodem na siwym koniu, w białej sukmanie z pałaszem u boku. On

prowadzi. Za nim jak za słońcem kieruje się całe wojsko.

Czwartego dnia z rana, jeszcze rosa nie obeschła na trawach, kiedy nasi obaczyli z daleka moskiewskie wojsko. Dojrzał widać nieprzyjaciel naszych, bo skręcił w bok i umyka. Pan Kościuszko także za nim zakręcił. Już słońce zeszło z południa, a nasi jeszcze idą za Moskałem. Nareszcie stanął na pagórkach. Widać na naszych zaczeka. Nasi dochodzą bliżej i rozciągają się niżej na polu. Moskali było dwa razy tyle co naszych. Stoją wojska naprzeciwko, chcą najpierw zmierzyć na oko, kto silniejszy. I było tak cicho w powietrzu, że słyhać było śpiew skowronka pod niebem, i szum wiatru po lasach. Naraz zagrały nasze trąbki i przodem rozsypali się strzelcy naprzeciw Moskałom. A oni wykierowali do naszych armaty. Wnet kilka światełek mignęło na panewkach i zagrzmiały działa. Dopiero bitwa na dobre. Huk, krzyk, wrzask, że człowiek własnego nie słyzy głosu. Już i strzelcy wysunęli się naprzód i konnica nasza wali na Moskwę, a kosyniery jeszcze czekają rozkazu. Nareszcie podjechał pan Naczelnik i zawołał na nich: Patrzcie bracia, widzicie te armaty, one nam najwięcej szkodzą i zawadzają, bo gdyby nie to, już byśmy byli wroga pobili. Naprzód! na armaty w imię Boże!

A nasi jak się ruszą z miejsca! Jak wrzasną Jezus! Marya! i sadzą jak chmura przez pole pochyliwszy kosy. A kule gwizdzą, a trąbki grają, a armaty całym gardłem szerokim wyrzucają kule, jak pioruny. Już nasi blisko. Moskale z armat strzelili. Padło kilku kosynierów, ale Bartosz podniósł kosę i krzyknął na nowo: Naprzód chłopcy! Jezus Marya! Wysuwa się sam przed wszystkich i krzyczy: Naprzód! i biegnie, a za nim biegną kosarze. Już Moskal nie ma czasu wystrzelić, bo kosyniery wskoczyli pomiędzy kanonierów. Pierwszy był Bartosz Głowacki. Wszyscy go widzą, jak siecze kosą po głowach. Za nim o parę kroków reszta kosynierów się tłoczy. Nie długo kosili, a już nie stało i jednego Moskala, coby zapalił proch na panewce. Nasi nawracają armaty. Już i strzelcy przebili tłumy moskiewskie. Moskale w nogi, nasi za nimi. Ułanów posłał

pan Kościuszko, aby siekli uciekających. Piechota zbiera się do szeregu, a kosarze stoją przy armatach, co odebrali nieprzyjacielowi. Wróg ucieka, nasza konnica za nim. Moskal rzuca ładownice, karabiny i rzemienie, a nasi siekają z góry, aż miło. Już była ósma godzina wieczór, gdy się nasi zebrali. Cieszą się i ściskają, jak gdyby się dawno nie widzieli, a wykrzykują: Niech żyje Naród! Niech żyje wolność! Niech żyje pan Naczelnik! Kosyniery krzyknęli na końcu: Niech żyje Bartosz Głowacki, co był pierwszy na nieprzyjacielskich armatach! Pan Naczelnik podjechał do nich i powiedział:

Dziękuję wam bracia za to, żeście się tak dobrze spisali. Zawsze ten wygrywa, kto broni sprawiedliwości i ma wiele odwagi. Sami widzicie, że naszych padło nie wiele, a Moskale takie mnóstwo się wala po polach, że ich nie naliczyć. Wiem, że się między wami najbardziej odznaczył Bartosz Głowacki, bo był pierwszy, co wskoczył między Moskwę. Za tę zasługę mianuję go przed wami oficerem wojska narodowego. Tak powiedział, podjechał do Bartosza i ścisnął go za rękę.

A Bartosz krzyknął i z nim wszyscy kosyniery: Niech żyje nasz Naczelnik Kościuszko!

Ptakiem po kraju rozleciała się wiadomość, że Kościuszko pobił Moskale pod Raławicami. Właśnie niedaleko od pobojuwiska była wieś Raławice. W Warszawie jeszcze jest wojsko moskiewskie i gospodaruje po swojemu. Rabują i zamykają uczciwych ludzi po więzieniach. Wiedzą że nie długie ich panowania, więc w całym kraju niszczą wszystko, co napotkają. Palą wioski i mordują bezbronnych wieśniaków. Pan Naczelnik z wojskiem z pod Raławic poszedł do Bosutowa drogą przez Rzędowice. Jak serce skakało z radości naszym kosarzom, kiedy się do swojej wioski zbliżyli. Wychodzili w nocy, a w biały dzień powracają. Nikt ich wtenczas nie znał, a teraz już cały świat wie, że kosyniery Kościuszki odebrali Moskalom pod Raławicami dwanaście armat. Jak to niedawno, a już wiedzą wszyscy, że pan Naczelnik mianował Bartosza Głowackiego

oficerem. Pierwej w bitwie z własnej ochoty biegł naprzód i pierwszy dopadł Moskali, teraz oficer idzie przed kosynierami, a oni za nim maszerują.

Już wieś Rzędowice, już nasi wchodzą przez kołowrot. U kołowrota czekają kobiety na mężów i braci. Czekają dziewczęta, aby przywitać zuchów parobków. Bartoszowa stoi na przedzie z dwoma dziećmi. Przybiega do męża, witają się i płaczą z radości. Drudzy za nimi witają swoich a dopytują: czyś gdzie nie ranny, czy ci się nic nie stało? A dzieci krzyczą, i biegną pomiędzy szeregi, pomiędzy tych żołnierzy, co wczoraj wrogów rąbali i jeszcze dziś krwią obryzane mają białe świty i krwawe plamy na tyczkach od kosy. Kosy znów błyszczą jak dawniej, a wyostrzone, że choćby zaraz kosić łby moskiewskie. Kosyniery całują dzieci, ściskają żony: To za was my się bijemy i za naszą świętą ziemię.

Już trąbka trąbi na naszych. Żegnają się z żonami i dziećmi. Żony radeby ich dłużej zatrzymać u siebie, ale starszyzna każe iść dalej. Kosarze obiecują, że nie długo powrócą. Teraz wypędziliśmy wrogów z naszej okolicy, ale na tem nie może być koniec. Musimy ich wyrzucić aż za granicę. Teraz już pewnie do Rzędowic nie przyjdą rabować, za siebie się nie wrócą. Trzeba pogonić za nimi i wybić do nogi, aby i na nasienie nie zostało. Tak mówili kosyniery, tak mówił i Bartosz Głowacki. Pożegnał żonę, staje znowu przed szeregami kosynierów i komenderuje: Bacność! kompania marsz! Nasi przez wieś idą i idą, kobiety patrzą za nimi i wołają: Niech was Bóg szczęśliwie prowadzi, wypędźcie wrogów i zdrowo wracajcie do domu.

WIDMO.

Opowiadanie jeanego z monarchów niemieckich.

Młody książę Sułkowski, w czasie swego pobytu w Berlinie 1851 r., zaproszony został na królewskie łowy. Wskazano mu stanowisko najbliższe króla. Czekali obaj z upragnieniem na napędzonego zwierza, lecz gdy ten dłu-

gi czas nie nadbiegł, król nie lubiący się nudzić, zbliżył się do Sułkowskiego na krótką pogadankę i między innymi przedmiotami rozmowy, zapytał go o widmo zjawiające się w jego zamku rodzinnym. Książę opowiedział wszystkie szczegóły znane mu z podania i opisu drukiem ogłoszonego. Szczególna rzecz! król się ozwał, są zjawiska nadnaturalne, niepojęte których zaprzeczać nie można. Ja sam wiem o jednym, za którego prawdziwość ręczyłbym śmieie.

W pewnej wiosce na Szlązku żyła wiejska uboga rodzina, utrzymująca się jedynie z pracy rąk i dzierzawionego ogródka. Ludzie ci byli z gruntu źli i dla wszystkich nieznośni, lecz synek ich jedynak, trzynaście lat pono mający, odbijał od nich zupełnie swą słodyczą dobrocią i religijnością. Zdawało się, że Bóg sam troskliwszej opieki otaczał go skrzydłem, najgorsze bowiem przykłady rodziców, żadnego wpływu nie miały na anielską duszy jego czystość. Rosła więc wśród brudnego mułu ta młoda lilia w śnieżnej niewinności szacie, codzien milsza, codzien uroczniejsza, i w uczuciu przynajmniej kochania dobrego dziecięcia, źli rodzice zgadzali się z sercami lepszych od nich sąsiadów. Słabego zdrowia był ich synek, raz nawet tak mocno zachorował, że na prośbę jego posłano po pastora protestanckiego, tego bowiem wyznania cała była rodzina. Pastor ten tem był pożądanym, że zarazem leczyć umiał. Nieszczęściem człowiek ten był nieczułego serca. Zbyt wielkiej wprzód wymagał zapłaty, niepodobnej dla ubogich wieśniaków, nie przybył więc do chorego, co rodzicom do nowych złości i przekleństw stało się powodem. Po krótkim żalu i namyśle, prosił chłopczyzna aby do dalszej parafii katolickiej posłać po plebana, nieznanego wprowadzić ni jemu, ni rodzicom, lecz szeroko słynnego z dobroczynności, mądrych rad, i także znającego się na leczeniu chorych.

Był to zupełnie mąż święty, litościwy nadzwyczaj, i równie z swych chrześcijańskich oznak jak i rzadkich cnót głośny. Zaledwie wezwany został, wybrał się natychmiast w drogę dwumilową pieszo, biedną bowiem posiadając plebanią, nie był w stanie podróżować inaczej.

Przybył — długo sam na sam rozmawiał z chorym bez najmniejszej nagrody, tyle dobrych rad udzielił rodzicom w celu pielęgnowania chorego, że już w tydzień po jego oddaleniu się, ów młodzieniaszek powstał z łoża boleści, i ile mógł rodzicom w pracy ich dopomagał. Zważano tylko, że odtąd częściej bywał zadumanym, słodszy i nabożniejszym jeszcze. Ale gdy pomimo wszelkich zachodów, nie wiodło się, jak to mówią, i ojcu i matce pozbawionym błogosławieństw niebios, i nęcza im coraz bardziej dokuczać zaczęła, postanowili dnia jednego pójść do miasteczka o cztery mile odległego i tam sprzedać niektóre swoje sprzęty i manatki. Poszli obarczeni swym ciężarem, ale zaledwie na milę oddalili się od wsi, chłopczyk ów pozostały w domu czuł się słabszym. Rzucił się na kolana i przez godzinę zatopił w modlitwie, po której przecie tak nagle wzmocniła się choroba, że w krótkim czasie, i bolejący bardzo, i bezwładny prawie, legł na łożu. Kochano go w całej wiosce, a więc i odwiedzano w nieobecności rodziców, kiedy w tem nagły sen go ujmuje, z którego po kilku chwilach zrywa się niebawem, a widząc przy łożu przyjaznego od dawna sobie chłopczyka, błaga go z łzami prawie, aby natychmiast pobiegł do księdza katolickiego, który już raz był u niego i poprosił go o spieszne przybycie. Życzeniu jego stało się natychmiast zadość, przybył tegoż dnia zacny kapłan, całe prawie dwa dni przy nim przebawił, wspierał, leczył, pocieszał i jak mógł pomagał, ale Bóg inaczej rozrządził, chłopczyk skończył na ręku plebana.

Nie oddalił się zacny kapłan, czekał na powrót rodziców, aby ile możności żał ich złagodzić i opowiadaniem zgonu syna do lepszych uczuć skłonić ich serca. Przyszli — dopełnił jeszcze i tego obowiązku, który sobie nakazał, poczem spiesznie się wybrał już wieczorem do wsi swojej, gdzie tej nocy jeszcze kilku biednych i chorych odwiedzić mu było trzeba. Zapalił latarkę, i wsparty na prostym kijku udał się w drogę.

Ciemno było, niebo grubo zachmurzone, wiatr dął przezrazliwy i drobny, ostry deszcz ciągle w oczy chlōstał. Szedł

biedny księżyna, szedł długo, gdy nagle uczuł że grzęznąć zaczyna. Zwraca się w lewo i znów w prawo, lecz coraz w większem trzęsawisku brodzi. Na domiar nieszczęścia głośno mu nagle świeczka w latarni, błąka się na nowo, chce ratować, coraz w radsze zapada bagno. W tej samej chwili przychodzi mu na myśl, że droga jego przechodzi tuż obok głębokiego jeziora o brzegach błotnistych, ogarnia go więc strach nadzwyczajny, wzdycha, modli się i co tylko życia i duszy w sobie czuje to wszystko w korną zlewa się prośbę i Niebios woła ratunku. Drobną jakąś iskierka światła ukazuje się przed nim zdaleka. Iskra ta coraz bardziej się rozszerza i wzrasta do wielkości gwiazdy lub błędnego ognika. Biedny ksiądz chce dążyć ku światełku, sili się, ale nadaremnie, żadnej nogi wyciągnąć nie może, czuje nawet, że coraz głębiej tonie.

— Boże! woła, niech się święta Wola Twoja dzieje! i pewny, że już umrzeć musi, akty konających mówić zaczyna, gdy w tem, o dziwo! cudzie niesłychany! światełko to, to samo zmierza ku niemu, a z niego wysuwa się mała rączka, zbliża się, chwyta go za rękę i z okropnej bagniska wywodzi go toni. Dotknięcie tej rączki nie miało nic zimnego, trupiego, z nadzwyczajną tylko jakąś i nadludzką pochwyciła go siłą. Wiodła go ciągle wśród nieprzejrzaney ciemności, wiodła go już nawet po suchej zieleni, gdy wtem doprowadziła go do ogromnego rowu napelnionego wodą, a tak szerokiego, jakby kanał jaki. Wstrzymał się pleban, czuł, że go przebyć niezdola, lękać się nawet zaczął, czy jaki zły duch go nie łudzi i na zgubę nie wiezie, kiedy owa rączka tak go naraz silnie pociągnie, że od razu przerzuca go na drugą stronę rowu, gdzie stanął cały zdumiony i drżący. Zgasło w tej chwili światło, znikła rączka, głos tylko następny kapłan ów usłyszał: *Za to, coś dla mnie uczynił i ułatwił mi przejście do drugiego świata, przybyłem cię ratować. Teraz bez obawy idź prosto przed sobą.* Coraz sroższa huczala burza, coraz grubsza ciemność osłaniała idącego, szedł z ufnością i prosto do progu domku swego przybył.

Sam ten proboszcz, król dodał, na żądanie moje zda-

rzenie mi to opowiedział i gdybym nawet nie był przekonany, że podobne zjawiska zdarzać się mogą, już te wszystkie szczegóły w tak świętą zlewające się zgodność w tej powieści, a zwłaszcza ta prostota w opowiadaniu, ta zacność kapłańskiego oblicza, ta prawda w jego słowach, spojrzeniu, głosie i cnotach życia całego, nakazują mi wiarę zupełną.

W tej chwili dwanaście sarn nadbiegało ku stanowisku króla, zagrzmiały po lesie strzały i myśli dostojnego łowca w inną uleciały stronę.

CO SIĘ STAŁO W POLSCE

OD PIERWSZEGO JEJ ROZBIORU, AŻ DO KOŃCA WOJEN ZA
CESARZA NAPOLEONA.

Trzej sąsiedzi rozszarpują po raz pierwszy Polskę.

Rozpruszyli się po świecie konfederaci Barscy, co się byli sprzysięgli na obronę świętej Wiary i Ojczyzny naszej, a co ślubowali w sercach, to też i dotrzymali, wojując z Moskwą blisko przez lat cztery. Ale że nie cały Naród stanął do obrony Ojczyzny, jeno co poczciwszego, więc też podolać nie mogli, aż w końcu wygrali Moskale. A potem nie było nikogo, coby bronił Polski od złych sąsiadów, a graniczyła ona z jednym królem i dwiema cesarzowemi, którzy zmówiwszy się umyślili wszyscy troje razem rzucić się na Polskę i rozszarpać ją między siebie.

Jeden z tych sąsiadów, był król, który rządził Niemcami, co się wcale niedawno przezwali byli Prusakami od kawała ziemi należącej do Polski, a którego to króla poprzednicy, książęta pruscy Polskę za zwierzchniczkę swoją uznali. Król ten bardzo był przebiegły człowiek, nie pytał skąd wzięść i jak wzięść, byle mieć co najwięcej a zwał się Fryderyk 2gi.

Drugą sąsiadką była carowa moskiewska, z urodzenia Niemka. Uboga z rodziców i przez chciwość poszła za cara moskiewskiego, którego w parę lat postępnie kazała udusić i sama potem rządziła. Była to niewiasta okrutna, wszete-

czna, a nadewszystko chciwa. Zwano ją Katarzyną drugą.

Trzecią sąsiadką była cesarzowa austriacka także Niemka, natenczas wdowa. Udawała ona niewiastę pobożną i cnotliwą, więc niby cudzego niełaknącą. Wzdychała też i płakała, kiedy mówiono o rozbiorze Polski, ale nie powiedziała, że nie weźmie, ani, że to jest grzech nad grzechami zabierać gwałtem kraj, którego lud zaklinał się na imię ukrzyżowanego Zbawiciela przed całym światem, że chce pozostać całą i nierozzerwaną Polską. Wzdychała więc ocierając łzy jedną ręką, a drugą po cudze wyciągała. Zwano ją Maryą Teresą.

Ci tedy trzej sąsiedzi niedługo się namyślając, każdy posłał swoje wojska w tę stronę Polski, jaka podług zмовy na niego przypadła, zabrał jak swoją, i do swego kraju przyłączył. I tak odgraniczyli od reszty Ojczyzny lud, który Bóg stworzył polskim, bo mu dał osobną mowę od innych narodów — ziemię, którą od wiek wieków ten lud uprawiał i sprzątał, pobudował i zamieszkał, gdzie przez tysiące lat grzebał kości ojców swoich, na raz nazwano pruską, moskiewską, albo austriacką ziemią.

Ale żeby to nie wyglądało jakoby rozbój, który trzech ludzi snadnie może wykonać na czwartym, napadłszy go niespodziewanie, Frydryk, Katarzyna i Marya Teresa każdy zabierając część Polski, wydał pismo, w którym dowodził swoich praw do tej ziemi. Ale jakież to te dowody? Oto takie na ten przykład: jak gdyby sąsiad sąsiadowi nocami łąki wypasał, a potem zabierał je jako swoje, bo jego woły się na niej dobrze tuczyły.

Ostróżnie też i pomału zagrabiali Polskę, niecałą od razu, ale tylko trzecią część, bo się bali, aby dalsi sąsiedzi nie pozazdrościli im, że się tak prędko panoszą.

Spełniony ten gwałt niesłychany po raz pierwszy na naszej Ojczyźnie 1773. r., a za tem 105 lat temu. Polska rozciągała się wtedy prawie na 200 mil w dłuż, i 200 mil w szerz, a miała około 20 milionów mieszkańców, więc tą razą dostało się około 6 milionów w niewolę pruską, moskiewską i austriacką. Król pruski zagrabił szerokie i urodzaj-

ne ziemie koło Noteci; Moskwa zagarnęła część kraju Białorusi, a Austria ziemię spiską i część Podola.

Żeby już nigdy a nigdy Polacy niemogli się upomnieć o te zabrane kraje, uradzili znowu ci trzej sąsiedzi, żeby jako zrobić, że to niby cały Naród i król polski przystają na to dobrowolnie. Wiedzieli oni dobrze, że z królem nie ciężka będzie sprawa, ale gorsza z Narodem. Cóż tedy robią? Oto po całej Polsce wybrano posłów, jak się to od wiek wieków, co dwa lata działo, a ci posłowie zjechali do Warszawy i radzili nad sprawami Ojczyzny. Taki zjazd nazywał się wtedy, jak i po dziś dzień Sejmem.

Otóż umyślili ci trzej sąsiedzi tak na tym sejmie posłów sztuką zażyć, żeby oni robili, co im się tylko żywnie będzie podobało. Więc sobie powiedzieli: przekupujmy ich pieniędzmi, szlachcicowi, który nam będzie służył pozwolimy się nazywać ksiąźciem albo hrabią. Bo trzeba wam wiedzieć mili ludzie, że między Polakami, nie nazywano nigdy niko-go hrabią: dopiero jak Moskal, Prusak i Austryak zaczęli w Polsce rządzić, to ci co się z nimi na biedę Polski zma-wiali, poczęli się hrabiami przezywać. A jeżeli to nie pomo-że, mówili sobie dalej trzej sąsiedzi, to rąbmy ich, sieczmy kijami, bierzmy do ciemnych więzień, a na swoim postawimy.

W przyszłym numerze opowiemy wam o królu Ponia-towskim, o wielkim zdrajcy Adamie Ponińskim, jako też o bardzo cnotliwym pośle Tadeuszu Reitanie.

Krzyż drewniany.

Tu wioska z chatami,
Tam lasek i łany,
Przy drodze nad borkiem,
Krzyż stoi drewniany.


I każdy co z wioski,
Przybywa pod borek,
Uklęknie i kornie,
Odmówi paciorek.

A na nim wryty,
Lecz nieznaną ręką
Pan Jezus Zbawiciel
Z odkupienia ręką.

Na sztukę nie patrzy,
O dluto nie pyta,
Nie okiem artysty,
Lecz z wiarą go wita!!

MATKA BOSKA GROMNICZNA.

Jedyny tylko lud Izraelski miał objawienie i wierzył w jednego Boga. A poganie? wszystko mieli za Boga, tylko *nie żywego, prawdziwego Boga*; oddawali bowiem cześć boską słońcu, księżycowi, gwiazdom; stworzenie zamienili na stwórcę; oprócz tego porobili sobie bożyszczka ze złota, srebra kamienia, drzewa, i bogu palili ofiary; również czcili za bogi krokodyle, koty, woły, węże; a co większa, tyranów liczyli między bogi, i ołtarze im stawiali. A w życiu? aż strach tam popatrzeć... samolubstwo, dumę, okrucieństwo i bezwstyd uważali poganie za cnoty, i niemi czcili swe bogi. Światłość przeto zagasła; i dopiero Jezus Chrystus przyniósł nam światłość niebieską, oświecił nas w tem co mamy wierzyć, co czynić, a czego się mamy wystrzegać; i dla tego Jezus Chrystus jest światłością prawdziwą, i w tej wielkiej myśli poświęca kościół świecę, właśnie w dzień kiedy Chrystus pierwszy raz zjawił się w kościele Jerozolimskim; te świece oznaczają Chrystusa, który nam światłość przyniósł na ziemię. On jest światłością prawdziwą, oświecającą każdego człowieka na ten świat przychodzącego, jak naucza Jan święty. Wszędzie i zawsze *gromi* Chrystus Pan nieprzyjacioły ciemności, osobliwie w owej stanowczej chwili, od której cała wieczność nasza zawisła, to jest w godzinę śmierci, i dla tego podajemy tę świecę poświęconą konającemu, aby Chrystus mu w tem przejściu do światłości wiecznej przyświecał. I ztąd to ta świeca, zowie się *gromnicą*, a Uroczystość w której się gromnice święcą, *Matką Boską Gromniczną*. Podczas Procesyi wszyscy wierni postępują z zapalonymi świecami, bo dziś idzie światłość prawdziwa na rękę Maryi do kościoła Jerozolimskiego. *Czemu to święto przypada 2. Lutego?* Według Zakonu Mojżeszowego niewiasta po porodzeniu syna dopiero 40go dnia mogła wejść do świątyni. Otóż Najśw. Marya sumiennie wypełniając przepisy Zakonu, idzie 40go dnia do kościoła Jerozolimskiego;... a dzień 40ty, po narodzeniu Chrystusa jest 2gi Luty. A więc kościół Boży prostem następstwem czasu ten dzień 2go Lutego przeznacza na obchodzenie Uroczystości Oczyszczenia N. Maryi Panny.

 W przyszłym numerze drukować będziemy ciąg dalszy „Historii o Rzymskich Papieżach.“